

Mateusz Matyszkowicz: Horubała. Czyszczenie czytania

Do księgarń trafia najnowsza książka Andrzeja Horubały. Proszę zapiąć pasy i przygotować się na silne wstrząsy



Do księgarń trafia najnowsza książka Andrzeja Horubały. Proszę zapiąć pasy i przygotować się na silne wstrząsy

Przeczytaj fragment

„Książka jest pokraczna, w wielu miejscach żenująca i zwyczajnie nudna. Oto bowiem na siedmiuset stronach obserwujemy skazane na porażkę wysiłki alkoholizującego się żartownisia, by stać się mędrcom” – to fragment najnowszej książki Andrzeja Horubały, wydawałoby się, że to ersatz tego, co w niej najcenniejsze, czyli mocnej frazy, uderzenia z liścia, albo nawet i z piąchy, by użyć języka popularnego ostatnio na

prawicy. Po części to prawda – w tym akurat fragmencie obity został Mrożek jako autor „Dzienników”. Wszelako będzie to tylko część prawdy i nie jestem pewien, czy ta najistotniejsza. Ale po kolei.

"Żeby Polska była sexy i inne teksty polemiczne" – tyle powinno wystarczyć. Dostaliśmy do ręki tom zbierający ostatnie boje Andrzeja Horubały z dodaniem kilku walk starszych, w tym tych najwcześniejszych. Wśród przedmiotów dociekań: Rymkiewicz, Gombrowicz, Mrożek, Wencel i inni. Autor kończy pięćdziesiąt lat i wiemy, że swojemu posłannictwu pozostaje wierny. Czyta i ogląda uważnie, a potem morduje. Najciekawsze jest jednak, kogo tak naprawdę morduje. Zabawmy się więc w taki antykryminał: wiemy, kto zabił (Horubała, oczywiście), ale nie wiemy jeszcze, kogo pozbawił życia. Indeks nazwisk na końcu książki mógłby tu być mylący.

Skrytykowany przez Horubałę autor mógłby przecież powiedzieć, że to właśnie jego ukatrupiono, wybebeszono i jeszcze urządzono zabawę nad zwłokami. Jeśli ktoś ma kota, wie, jak to się odbywa. I przyznajmy, że bycie tak zamordowanym nie jest miłe. Po spokojnej lekturze jednak nie jestem tego taki pewien. Nie tylko dlatego, że oberwało się kilku autorom przeze mnie cenionym i chciałbym ich jakoś podratować, potrzymać za rękę w trudnej chwili, wykazać się empatią. Powiedzieć: to nie ciebie dotyczy, nastąpiła jakaś pomyłka, literówka w pisowni nazwiska, czysty zbieg okoliczności. Sprawa jest znacznie poważniejsza. Wszystko zostało ukartowane, ale niekoniecznie przeciw nieszczęśliwemu twórcy, którego krytyk wziął na warsztat.

Kiedy sobie uświadomiłem, że ten cios ma dziwną jakąś trajektorię, to pomyślałem, że wycelowany jest właśnie we mnie, w czytelnika. Sam czytam nieco inaczej niż Horubała. Przeczucie, że liczba książek, które mogę strawić zanim nastąpi nieuchronny koniec, powstrzymuje mnie przed sięganiem po kiepskie pozycje. W tych zaś, które wybieram, szukam raczej czegoś, co mogę przyjąć, a nie odrzucić. Zwłaszcza, że literatura ma to do siebie, że oddziałuje na wyobraźnię, a ja nie lubię, gdy moimi wyobrażeniami próbują rządzić ciemni panowie i ciemne panie. (Zupełnie inaczej jest w przypadku lektur filozoficznych, ale to inna historia.) Kiedy więc Horubała beszta rzeczy mi bliskie, czuję, jakby mnie samego beształ. Dopiero co zachwycił mnie jakiś tomik czy powieść, czy dziennik i ze strachem sięgam po *Uważam rze* (w przypadku AH trzeba powiedzieć: sięgałem, bo autor już tam nie pisuje), wiedząc, że pewnie czołgi już jadą mnie zmasakrować. Tak, to mnie morduje Horubała, pomyślałem. Andrzej, nie rób tego więcej! – powtarzam sobie w myślach.

Po kilku dniach wracam jednak do równowagi psychicznej. Herbata i miska z gorącą wodą. Pod tym względem do niedawna najlepsza była niedziela. Poprzedni numer *Uważam rze* już przetrawiony, nowy jest jeszcze nieznan. Więc kiedy już ten moment odprężenia nastąpi, to dziękuję krytykowi, bo tak naprawdę lubię, jak ktoś mnie w dysonans wprowadzi, coś przeczyta inaczej, pobeszta i połechce. Nawet, jeśli się jeszcze nie zgodzę, to nie zgadzam się jakoś pełniej, nie tyle silniej, co rozumniej.

I tu pytanie zasadnicze, które nas doprowadzi do odkrycia ostatecznego celu ciosów Andrzeja Horubały. Skąd on wie, w co uderzyć? Wie, bo sam czyta. Tak, należy do tej wymierającej grupy krytyków czytających

książki, do których się odnoszą. Kiedy zaś czyta, bada własne reakcje – i to dlatego wie, w co uderzyć. W tym sensie recenzje pisane przez Andrzeja Horubałę są rodzajem dziennika duszy, zapisem intymnego kontaktu czytelnika z książką. W tej zaś intymności nie trudno o gwałtowność, o spieranie się, o niegodzenie, wreszcie o fascynację.

Dzięki temu Horubała potrafi przekraczać krytycznoliterackie tabu, jak choćby sprawę Zbigniewa Herberta – za podniesienie na niego ręki na Horubałę spadły gromy, a przecież chodziło o rzecz elementarną: jak czytać / jak ja, Andrzej Horubała, mam czytać Zbigniewa Herberta? W jaki sposób mam swoje czytanie oczyścić, by rozumieć więcej i lepiej. Za Horubałą czytelnik powinien sobie sam to pytanie postawić. Przy okazji postawiona zostanie cała lista pytań tradycyjnie polskich: o romantyzm, o wolność, o walkę, o religię, o krew, o zmaganie z totalitaryzmem.

W ten sposób krytyka Andrzeja Horubały jest pisana przede wszystkim w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Tu nie ma klisz, które spotkać można w popularnej prasie: *Polacy już nie chcą...*, *Nie chcemy już...*, *Jesteśmy tacy i owacy...* Nie. Tu jest tylko pierwsza osoba i liczba pojedyncza.

A dlaczego? Trzeba sięgnąć już do powieści Horubały. Liczy się tylko nawrócenie i zbawienie. Reszta jest tylko dodatkiem, nieudolną całą czas próbą znalezienia języka, by to opisać.

Jeszcze raz: Najlepsze życzenia!

**Andrzej Horubała, Żeby Polska była sexy i inne szkice polemiczne,
Frona, Warszawa 2011**

Mateusz Matyszkowicz